

ZAMORDOWANI ZA TO, ŻE BYLI POLAKAMI

Przedstawiamy wspomnienia Ireny Piliszewskiej. Jako dziecko mieszkała na Wołyniu. Podczas pamiętnej nocy z 11 na 12 lipca 1943 r. Ukraińcy zamordowali jej ojca. Usiłowali zabić także ją, jej siostry oraz matkę. Zginęli również inni bliscy krewni Ireny Piliszewskiej.

Urodziłam się 3 marca 1937 r. Mieszkałam w Pustomytach. To taka kolonia na trasie między Horochowem a Łuckiem, w powiecie horochowskim, w dawnym województwie wołyńskim. Jeśli dokładnie pamiętam, były tam 22 domy. Mam dwie siostry: starszą o półtora roku Wandę i młodszą o cztery lata Krystynę; obie żyją do dziś.

Moi rodzice mieszkali w Pustomytach od wielu lat, wybudowali tam dom. Zajmowali się rolnictwem, mieli własne gospodarstwo. I jeszcze – w domu – taki typowy wiejski sklep: szwarc, mydło i powidło; tak się mówiło na asortyment, jaki tam był.

Pamiętam nasz dom doskonale. W ogóle pamięć mi służy. Między innymi wciąż pamiętam, jak mama przyjechała ze szpitala z moją młodszą siostrą. Mogę odtworzyć całe wnętrze domu, gdzie były okna, obrazki, meble. Pamiętam też, że był otoczony kwiatami i słonecznikami.

Naprzeciwko nas, po prawej stronie drogi, która biegła z zachodu na wschód, mieszkała Żelczykowa. Była Ukrainką, moi rodzice się z nią przyjaźnili. Dalej mieszkali Karawańscy, też Ukraińcy. Mieli córkę Julkę, dziewczynkę w moim wieku, zawsze się razem bawiłyśmy.

Po naszej stronie drogi, obok nas, mieszkał Grabarczuk; dalej z prawej – Anna Kowalczyk, której mąż był leśniczym. Jeszcze dalej stał wiatrak. W kolejnych domach mieszkały między innymi dwie czy trzy rodziny Czechów. Zwykła wieś, jakich na Kresach wiele.

U mojej mamy najczęściej bywała Kowalczykowa, która miała córeczkę Basię w wieku mojej młodszej siostry oraz dwoje dorosłych dzieci: Tadeusza (17 lat) i Stasia (19 lat). Mieszkali w niewielkim, dwupokojowym domu. Od wiosny do jesieni w jednym z pokoi zawsze stał ubrany ołtarz. Wszyscy schodziliśmy się do Kowalczyków, głównie na nabożeństwa majowe, bo do kościoła było daleko, jakieś dziesięć kilometrów. Poza tym w czasie wojny, zwłaszcza gdy zbliżał się 1943 r., chodzenie po okolicy było coraz bardziej niebezpieczne. Bo naszą wieś ominęło zarówno wejście Sowietów, jak i Niemców. Żadnych samolotów, czołgów, dział, nawet żołnierzy. Słowem, gdyby nie docierały do nas wiadomości ze świata, nie wiedzielibyśmy, że w ogóle jest jakaś wojna.

To był cichy zakątek; spokojny świat, gdzie ludzie żyli w zgodzie, przychodzili do siebie na święta, pomagali sobie, przeżywali te same smutki i radości.

Mimo to wiedziałam, że coś jest nie tak. Chociaż byłam małym dzieckiem, czułam, że w tym naszym świecie dzieje się coś niedobrego. Mama z tatą zaczęli rozmawiać po cichu, tak żebyśmy nie słyszały. Często szeptały coś do siebie. Widziałam, że się niepokoją, takie rzeczy dziecko czuje.

Potem po raz pierwszy zobaczyłam żołnierzy – Niemców. Pędzili Żydów drogą koło naszego domu, do Horochowa, gdzie był obóz żydowski. Aż nadszedł dzień, gdy sama

przekonałam się, jak niebezpieczny może być świat. Naprzeciwko mieszkali Ukraińcy. Nazywali się Sunycie. Któregoś dnia wpadli do nich jacyś osobnicy i zabili wszystkich – sześć czy siedem osób – oprócz pary staruszków. Dowiedziałam się o tym, bo podsłuchałam dorosłych. Pobiegłam do domu Sunyciów. Wszyscy leżeli na ułożonej na podłodze słomie, przykrytej kotarami, kilimami, pościelą. Byli martwi.

Nie wiem dokładnie, jak się to stało. Nie słyszałam żadnych strzałów. Później podsłuchałam, jak mama opowiadała, że „tamci” bywali już u Sunyciów wcześniej, a zabili ich za to, że za bardzo sprzyjali Polakom. Do mordu doszło jesienią 1942 r. Nie rozumiałam wtedy pojęcia „tamci”. Przekonałam się, kim są, gdy przyszli również do nas.

Lecz najpierw po wsi zaczęły krążyć słuchy, że po lasach chodzą różne podejrzane typy, że w innych wioskach także mordują. W tej sytuacji mężczyźni z naszej wsi zaczęli wystawiać warty na noc, pilnować. Obok naszego domu stała wieża przeciwpożarowa, bo wokół były lasy. Mężczyźni wchodzili na wieżę i obserwowali okolicę.

Zbliżał się koniec roku. Zrobiło się tak niespokojne, że baliśmy się, iż mogą nas dopaść w każdej chwili. Mężczyźni nakazali dzieciom, kobietom, ludziom starym i chorym – Polakom i Ukraińcom – ukryć się w stodołach. Zabraliśmy z domów kołdry i tam spaliśmy. W tym czasie mężczyźni pilnowali, chodzili po okolicznych lasach, wchodzili na wieżę.

Podsłuchiwałam ich, gdy się naradzali. Mówili, że pod wieżę podejżdżają jakieś furmanki, że coś tu się będzie działo, że jest niebezpiecznie.

Niektórzy gospodarze mieli broń. Niewiele, ale mieli. Na przykład mój ojciec nosił przy sobie pistolet. Najprawdopodobniej dostał go od swojego brata Ryszarda, który mieszkał w wiosce Białystok koło Torczyna. W Torczynie (większej wsi) ojciec miał kilku braci. Ryszard był z nich najmłodszy, pracował u myśliwego, Niemca, który mieszkał pod Białymstokiem. Niemiec nie miał jednej ręki, dlatego do obowiązków stryja należało między innymi zapinanie mu pasa z kaburą. Któregoś dnia stryj wyjął pistolet z kabury, założył Niemcowi pas z pustą kaburą, a sam wsiadł na konia i uciekł do lasu. Później dał ten pistolet mojemu ojcu.

W stodole siedzieliśmy do końca maja lub początku czerwca. Pewnego dnia coś potężnie huknęło. Przybiegłam do mamy, wołając: „Mamo, co tu się stało, nasz dom się zawalił?”. „Nie, to wieżę w nocy podpłiwali i zwalili” – odpowiedziała. Mężczyźni nie upilnowali.

Potem zrobiło się spokojnie. Ustał ruch w okolicznych lasach, nie widzieliśmy nikogo obcego. Pilnujący wsi chłopci na nikogo się nie natykali. Przyszło lato, więc trzeba było pracować w polu. Wróciliśmy do swoich domów.

Aż nadszedł tamten dzień: niedziela, 11 lipca 1943 r. Pamiętam ją doskonale. Była piękna pogoda. Wieczorem siedzieliśmy na progu, słońeczko grzało, choć już powoli zachodziło. Córeczka Kowalczykowej, Basia, bawiła się z moją siostrą. Taty nie było, poszedł gdzieś na pole czy ogród. Zbliżała się noc, Basia pomachała nam „pa, pa” i poszłyśmy do swoich domów.

Kowalczykowa była już wtedy sama. Jakieś pół roku wcześniej jej mąż, który – jak wspomniałam – był leśniczym, wyszedł do lasu i już nie wrócił; wszelki ślad po nim zaginął.

Poszłyśmy spać. Mama położyła młodszą siostrę na kozetce pod oknem i sama się przy niej położyła. Ja ze starszą siostrą spałyśmy na łóżku. Po kolacji ojciec narzucił na siebie kurtkę i wyszedł. Mama długo nie spała, modliła się. Siostry spały, taty nie było, pilnował nas na dworze.

Minęła godzina druga, był już zmęczony. Wrócił do domu, zaczął rozmawiać z mamą. Powiedział, że widział jakichś ludzi na koniach i wozach, i że mieli dużo broni. Zatrzymali się między chatą Kowalczykowej a rozwaloną wieżą, popatrzyli i pojechali dalej. Jak pojechali, to znaczy, że naszą wioskę ominęli.

Jak się okazało, był w błędzie. Oni objechali wieś dookoła. Tymczasem tato, który poczuł się już uspokojony, położył się koło mnie i siostry w ubraniu i usnął. Pamiętam, że zerwałam się równocześnie z mamą, bo zaczęło coś stuknąć. Okna były zasłonięte kocami i kapami, w środku było ciemno. Zaczęli siekierą podnosić drzwi z haków. Ale były ciężkie, nie dawali rady. Ojciec spał, siostry też, a ja patrzyłam, co robi mama. Chodziła po mieszkaniu i słuchała. Za oknem było słychać



Irena Piliszewska przy rodzinnym grobie w Górze

kroki. I nagle ktoś walnął kolbą karabinu w okno. Lecz wisiały na nim firanki i ciężka zasłona, kolba się w to zaplątała. Wtedy tamten zaczął się wydzierać: „Odkrywaj dwiery”. Szkło posypało się na Krysię, naleciało jej do buzi. Ojciec zerwał się na równe nogi, stanął przy drzwiach, starsza siostra przy nim. Ukraińiec odsunął kolbą zasłony i dalej się wydierał. Mama złapała młodszą siostrę i pociągnęła ją w głąb izby.

Czuliśmy, że nadchodzi śmierć. Stałyśmy tak w swoich koszulkach, mama w ciemnej sukience, bo starała się na noc ubierać na czarno, gdyby przyszło jej uciekać. Pamiętam wzrok ojca, popatrzył po mieszkaniu i cichutko otworzył drzwi. Przy przeciwnej ścianie była drabina, skoczył w jej stronę i wbiegł po niej na poddasze. Miało zamykaną klapę. Tatuś nie zamknął tej klapy całkowicie. Myślę, że zrobił to celowo, by widzieć, co się dzieje. Mama otworzyła drzwi.

Wanda stała przy lewym boku mamy, ja przy prawym, małą mama wzięła na rękę. Wszystkie byłyśmy boso, dochodziła trzecia.

Stanęli w drzwiach. We trzech. Dwaj z karabinami, trzeci z siekierą. Taką wielką rzeźniczą, zagiętą na końcu. Wszyscy zarośnięci. Dwóch ubranych w kożuszki, trzeci w stary zniszczony niemiecki mundur, z wypłowiałą czapką. Znałam te mundury, widziałam je, jak pędzili Żydów.

Modliłyśmy się głośno, a jeden z Ukraińców, zapytał: „Gdzie mąż?”. Mama odpowiedziała: „Nie znaju, gdzieś na dwory”. On się przesłyszał, zrozumiał „na gory”, i spojrzął do góry, zobaczył uchylone drzwiczki na strych.

W tym momencie ten z siekierą zdjął ją z ręki i zaczął zachodzić nas z tyłu. Zamachnął się. Wiedziałam, że nadchodzi śmierć. A mama nas tylko przytuliła i powiedziała: „Boże, przyjmij nasze dusze” i myśmy za nią to powtórzyły. Uderzył mamę tą siekierą. Ale tak się zamachnął, że zagięte ostrze wbiło się jej nad prawym okiem. Wyrwał jej kawałek skóry z czoła, choć krew się nie polała. Jak zobaczył, że mama nie upadła, obrócił siekierę i obuchem przywalił jej po plecach; też nie upadła.

Więc ten, co stał naprzeciw nas, zarepetował karabin i strzelił. Trzymałam ręce jak do modlitwy, miałam je centymetry od lufy. Nie wiem, czym strzelał, w każdym razie całe obie dłonie miałam porażone.

W tym momencie ten z drugim karabinem, który szedł przed nami w stronę drabiny, został trafiony. Nie wiem, i nigdy się nie dowiem, czy ten, co strzelił, trafił go przez przypadek, czy to ojciec strzelił, widząc, co się dzieje. Mamie kula przecięła sukienkę i zadrasnęła skórę. Ten, który dostał, rozciągnął się na podłodze jak długi. Tamci dwaj rzucili się zobaczyć, co z nim. Nam dali na chwilę spokój. Wykorzystałyśmy to, rzuciłyśmy się do drzwi. W tym momencie mamie zaczęła kapać krew, wsadziła do dziury w czole palce i tak biegła.

Jeden z bandytów złapał moją starszą siostrę, ale ona – po krótkiej szamotaninie – zdołała mu się wyrwać. Wyskoczyła z chałupy za nami, lecz pobiegła w bok, koło studni przy jednej z chałup. A tam stał banderowiec i rozdzierał małe dziecko. Dziewczynka leżała na ziemi. Banderowiec nadepnął na jedną nogę i z całej siły szarpał za drugą, właśnie po to, by ją rozedrzeć, a potem wrzucił do studni. Na ten widok Wanda dostała takiego pędu, że nas dogoniła, wyprzedziła i przed nami wpadła do chaty ukraińskich sąsiadów, Karawańskich. Bo do nich biegłyśmy.

W tym czasie tata, gdy zorientował się, że nie ma nas w domu, wyskoczył przez okienko na strychu na dwór i uciekł w pole. Jednak tam prawdopodobnie natknął się na grupę banderowców. Jego ciało znalazł później znajomy chłop z pobliskiej wsi. Powiedział, że tata miał w ciele osiem lub dziewięć kul. Miał też przestrzelone oba kolana. Musieli więc najpierw zatrzymać tatę i przestrzelić mu nogi, a dopiero potem powoli go dobijali. Jestem pewna, że mimo tylu kul nie zginął od razu. W zaciśniętych rękach miał ziemię. Musiał konać w męczarniach. Gdy ten chłop znalazł ciało, było już mocno nadjedzone przez dzikie psy. Pochował ojca, jak umiał najlepiej.

My natomiast, gdy dobiegłyśmy do domu Karawańskich, zobaczyłyśmy ich siedzących na zaprzężonym wozie. Później dowiedziałam się, że wszystkim Ukraińcom nakazano załadować wozy i uciekać.

Zaczęłyśmy głośno odmawiać pacierz. Oni zeskoczyli z wozu i podbiegli do nas. Gdy zobaczyli zakrwawioną mamę, zaczęli wołać: „Uciekajcie, gdzie chcecie, i róbcie, co chcecie, nam nie wolno wam pomagać, bo i nas zabiją”.

A mama powiedziała: „Weźcie ode mnie chociaż najmłodsze dziecko, ja ze starszymi pójdę w zboże”.

Nie wzięli, odjechali. Lecz został staruszek, senior rodu, miał już grubo ponad osiemdziesiąt lat. Podszedł do nas i powiedział, że tak nie może być. Wziął jakiś płócienny woreczek, owinał tym mamie głowę. Potem dał jej swoją ciepłą pelerynę, tak zwaną burkę. Bo choć był lipiec, to w nocy było zimno. A potem sam zniknął, gdzieś się schował.

Pchnęliśmy pierwsze z brzegu drzwi i weszłyśmy do obórki. Stało tam kilka krówek i owieczek. Mama usiadła na stołku do dojenia, na rękach miała młodszą siostrzyczkę. A ja z Wandą trochę się do niej tuliłyśmy, trochę biegałyśmy do ścian. Były zbite z desek, pełne szpar. I patrzyłyśmy przez drogę na nasz dom, a stamtąd ciągle coś wywlekali. Brali wszystko, co się dało, przy tym stale wołali: „paskarej, paskarej”. Bali się, że Niemcy przyjadą.

W pewnym momencie poczułyśmy swąd. Popatrzyłyśmy na siebie: „aha, podpalają”. Trzęśmy się ze strachu i modliłyśmy się. A tymczasem oni szli w naszą stronę, w pięciu. Weszli na podwórze, do chaty... Wszystko przewracali, wszędzie zaglądali: do stodoły, chlewika, kurnika, psiej budy. Położyłam się na ziemi. Byli tak blisko, że gdybym wyciągnęła rękę pod wrotami, mogłabym ich chwycić za nogi. Jeszcze chwila, wystarczyło, że któryś je pchnie i już by nas mieli. Nagle usłyszałam: „ne ma, ne ma, toże ne ma”. A ci z dworu: „paskarej, paskarej”. Pojechali, do dziś nie mogę zrozumieć, jaki cud nas uratował.

Rana mamy zasklepiła się. Po jakimś czasie Krysia usnęła w jej ramionach. Cały czas się modliłyśmy. Aż w końcu przyszła gospodyni, synowa tego dziadka, który nam pomógł. Weszła z wiaderkiem, żeby wydoić krowy. Stała jak wryta: „a wy tu?”. Wydoiła krowy i dała nam mleka. Pamiętam do dziś, jak piłam z wiadra i to mleko ciekło mi po twarzy.

Potem zapytała: „Jak wy tu przeżyli?”. „Ano jakoś przeżyli”. „Ale teraz musicie iść”. Mama z tą głową obwiązaną była bardzo słaba. My byłyśmy w koszulach nocnych – gdzie tu iść, gdzie szukać ratunku, przecież nasza chałupa była spalona.

Już było południe. Napiłyśmy się mleka i tak jak stałyśmy, na bosaka, poszłyśmy szukać naszych przyjaciół. Wszystkie polskie zagrody były spalone. Przechodzimy koło Czechów, a oni coś na żarnach młóca, jakby się nic nie stało. Byli nietknięci, gospodarzyli sobie normalnie. Lecz nie chcieli z nami rozmawiać.

Zaszłyśmy do Żelczykowej. Po jakimś czasie przyszła tam Kowalczykowa. Miała ręce owinięte. Powiedziała do mamy: „Ty masz chociaż dzieci, masz dla kogo żyć, ja zostałam sama”.

Cała była w zakrzepłej krwi. Opowiedziała mamie, co się stało. Bandyci przyszli do ich domu, kazali im klęknąć przed ołtarzem. Ona klęknęła pośrodku, syn z jednej strony, córka z drugiej, a najmłodsza Basia, stała w łóżeczku.

Strzelił z karabinu. Syn i córka padli od razu, jej kula przestrzeliła dłoń. Też upadła i udała, że nie żyje. Jak padł strzał, to dziecko w łóżeczku zapłakało. Wtedy Ukrainiec podszedł, wyjął sztylet, nadział dziecko, a ono jeszcze do błyszczącego ręce wyciągało. Potem wyjął siennik, który był napchany słomą, i podpalił chałupę. Uznał, że nic tam nie było do kradzieży, to „paskarej” i z kumplami nawiali.

Gdy Kowalczykowa zobaczyła, że się zaczyna palić, zagasiła ogień wodą, która była w nocniku. Zauważył to jednak jeden z Ukraińców. Wrócił i zaczął walić ją po głowie karabinem. W końcu uznał, że nie żyje. Poszedł, ale już chaty nie podpalił.

Kowalczykowa bała się wyjść z domu, bo nie wiedziała, gdzie oni są. Zsunęła się do piwnicy, usiadła na taborecie i czekała... Ręce owinęła ścierkami. Wyszła z piwnicy po dwóch godzinach, przede wszystkim dlatego, że nie mogła dłużej znieść krwi sączącej się przez podłogę. Krew oblewała ją od głów do stóp. Krew jej własnych dzieci. Zawinęła ciała w prześcieradła, wykopała pod oknem dół i w nim pochowała swoje dzieci. Później przyszła do Żelczykowej.

Inny z sąsiadów przyniósł kolejną straszną wiadomość. Mój ojciec miał przyjaciela z wojska, który też mieszkał w naszej wsi. Nazywał się Tomasz Hołowański. Miał macochę Ukrainkę. Ją bandyci zastrzelili od razu, jego obwiązali pierzyną, podźgali kosą, rzucili na słomiany gnojownik i podpaliłi. Zdołał się z gnojownika sturlać, lecz nie mógł wydostać się z pierzyny. W niej się palił.



Ukrainiec, Karawański, syn dziadka, który nas przygarnął, nałożył na wóz słomy i położył na niej Hołowańskiego. Razem z mamą, która zabrała ze sobą młodszą siostrę, zawieźli Hołowańskiego do szpitala w Horochowie, gdzie zmarł po kilku dniach. Później mama powiedziała nam, że nigdy nie słyszała, by ktoś tak strasznie jęczał.

Ja, Wanda i Kowalczykowa wyruszyliśmy pieszo. Do Horochowa zaszliśmy pod wieczór. Trafiliśmy na plebanię, do naszego proboszcza, który się nami zaopiekował, dał nam jakieś ubrania. Zamieszkałyśmy na plebanii. W tym czasie mama leżała w szpitalu. Proboszcz przygotował nas do Pierwszej Komunii. Pamiętam, że w czasie uroczystości siostra była ubrana na biało, ja w jakąś niebieską bluzkę, innej nie udało się zdobyć. Na przyjęciu podano chleb, masło, mleko i ser. To była zbiorowa uroczystość wielu sierot, zebranych ze spalonych okolicznych wsi.

W końcu mama wydobrzała. Trzeba było znaleźć inne miejsce do życia. W szpitalu położna, którą mama poznała wcześniej, przy porodzie Krysi, dała jej adres do Puław, do swojej rodziny. Pojechaliśmy. Tak zaczęła się nasza wędrówka na dzisiejsze Ziemię Zachodnie.

Chciałabym jeszcze opowiedzieć to, co przeżył mój stryj Ryszard. Urodził się w 1927 r., mieszkał – jak już mówiłam – we wsi Białystok. Kiedy na Polaków na Wołyniu zaczęli napadać ukraińscy nacjonałiści, został łącznikiem w tworzących się oddziałach polskiej samoobrony. Dużo czasu spędzał w lasach. Gdy nie było go dłużej w domu, jego ojciec, Andrzej, zostawiał mu pod krzakiem jedzenie. W nocy z 10 na 11 lipca chleba nie było. Nagle stryj usłyszał przeraźliwe krzyki po polsku i ukraińsku, dobiegające od strony wsi.

Pobiegł tam, podszedł pod dom. Zobaczył go jego ojciec. Ryszard zaczął machać do niego, by wyskoczył przez okno i przybiegł do niego. Dziadek stanął w oknie, już chciał skoczyć, lecz w tym momencie od tyłu doskoczył do niego Ukrainiec i z całej siły wbił mu kosę w plecy. Na oczach Ryszarda ciało jego ojca wypadło z okna.

To nie wszystko. Stryj miał jeszcze siostrę, Stanisławę. Zaledwie dwudziestopięcioletnią. Też była w domu. Przez ściany słychać było, jak przeraźliwie krzyczy, błagając o życie. Daremnie. Jak się później okazało, Ukraińcy dosłownie pokroili ją na kawałki, ucięli jej głowę. Tę głowę, jak i głowy innych Polaków ponabijali na tyczki przy drodze biegnącej przez wieś. Dwadzieścia dwie głowy miały być postrachem dla Polaków.

Stryj trafił do Ludowego Wojska Polskiego, walczył pod Lenino, przeszedł cały szlak bojowy aż do Berlina. Spotkaliśmy się wiele lat po wojnie, był oficerem. Przed śmiercią zdążył mi jeszcze opowiedzieć o tamtych tragicznych wydarzeniach.

Nigdy nie znaleźli się trzej pozostali bracia ojca: Albin (miał wtedy 21 lat), Mieczysław (31 lat) i Antoni (33 lata).

Po zakończeniu wojny mama Ireny Piliszewskiej wyjechała wraz z córkami na Ziemię Zachodnie. Zamieszkały we wsi pod Górą (miasto na południe od Leszna, na Dolnym Śląsku). Z czasem pani Irena przeprowadziła się do Góry, gdzie mieszka do dziś. Od wielu lat spisuje swoje wspomnienia i wspomnienia innych osób, które przeżyły rzeź na Wołyniu.

Na grobie matki na cmentarzu komunalnym w Górze ustawiła tablicę z nazwiskami najbliższych krewnych, którzy zostali na wschodzie. Jest jeszcze jeden grób, wykupiła go dla siebie na cmentarzu parafialnym w Górze. Tam też znajduje się tabliczka. Napis na niej brzmi: „Ofiary zbrodni dokonanych przez bandy tak zwanej Ukraińskiej Powstańczej Armii na Wołyniu w 1943 roku. Zamordowani tylko dlatego, że byli Polakami. Ich pamięci. Góra 2007”.

Relacji wysłuchał Damian Szymczak